

Mikołaj MADUROWICZ^a, Paweł E. WESZPIŃSKI^b

^aUniwersytet Warszawski

Wydział Geografii i Studiów Regionalnych

e-mail: m.madurowicz@uw.edu.pl

ORCID: 0000-0002-9234-8930

^bMuzeum Warszawy

e-mail: p.weszpinski@uw.edu.pl

ORCID: 0000-0002-2594-1267

NAZYWAĆ ZNACZY MYŚLEĆ. SŁOWO WSTĘPNE

To name is to think. Foreword

W Muzeum Warszawskiej Pragi w dniach 28–30 listopada 2022 roku odbyła się 6. Nazewnicza Konferencja Naukowa pt. *Zwinięte fabuły miast*. Organizatorami obrad były: Zespół Nazewnictwa Miejskiego (m.st. Warszawy), Biuro Kultury Urzędu m.st. Warszawy, Muzeum Warszawy, Centrum Badań nad Kulturą Warszawy Uniwersytetu Warszawskiego, Instytut Języka Polskiego Uniwersytetu Warszawskiego, Polskie Towarzystwo Onomastyczne oraz Warszawskie Obserwatorium Kultury. Wydarzenie objęli patronatem dziekani trzech wydziałów Uniwersytetu Warszawskiego: prof. Maciej Jędrusik z Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych, prof. Łukasz Niesiołowski-Spano z Wydziału Historii oraz prof. Zbigniew Greń z Wydziału Polonistyki. W zespole programowym konferencji zaś pracowali: dr Agata Hącia, dr Artur Jóźwik, Simona Kowalewska, dr hab. Mikołaj Madurowicz, Grzegorz Piątek, Aneta Subda-Kamola, dr Katarzyna Wagner, dr Paweł E. Weszpiński (inicjator i koordynator obrad) i dr Wojciech Włoskowitz. Podczas konferencji wystąpiło ponad 40 referentów reprezentujących polskie i zagraniczne wyższe uczelnie, instytuty Polskiej Akademii Nauk i placówki muzealne, a także przedstawiciele urzędów miast, radni miejscy i członkowie zespołów nazewnictwa miejskiego. Poza sesjami referatowymi odbyły się dwie debaty zatytułowane *Kto nazywa miejsca w mieście i na jego mapach?* oraz *Sprawiedliwość nazewnicza*, ponadto panel samorządowo-ekspertki, jak również dwie nazewniczne wycieczki autobusowe (zabytkowym jelczem 043) po warszawskich ulicach i ich nazwach. Przedsięwzięciu towarzyszył otwarty dla wszystkich zainteresowanych quiz nazewniczny, w trakcie trwania obrad ogłoszono też wyniki konkursu „Nazwy dla Warszawy” – w jego ramach zgłaszano nieupamiętniające osób, zdarzeń ani organizacji propozycje nazw w dwóch kategoriach: dla konkretnego i istniejącego, lecz jeszcze nienazwanego miejsca w Warszawie oraz dla budowanej podówczas kładki pieszo-rowerowej łączącej Bulwary Wiślane z prawobrzeżną Warszawą. Zawarte w niniejszym zeszycie *Prac i Studiów Geograficznych* artykuły stanowią pokłosie wybranych referatów wygłoszonych na konferencji.

Wybór miejsca publikacji artykułów nawiązujących do konferencyjnego dyskursu jest nieprzypadkowy. Geograficzność – czy może przestrzenność nazwy miejskiej – wydaje się bowiem tyle oczywista, ile niezbywalna. Nazwa wszak zarówno znaczy, jak i oznacza. A jednym z aspektów tegoż oznaczania nie bez znaczenia jest przestrzenne odniesienie obiektu, zawsze umiejscowionego, zawsze położonego gdzieś w geograficznej przestrzeni. Nazwane miasto znajdujemy w konkretnym miejscu – w terenie i na mapie, nazwaną ulicę, bibliotekę, pałac, sklep, nazwane rondo, skwer, potok – w konkretnym miejscu w mieście... I poprzez to umiejscowienie nazwa staje się swoistym opisem geograficznym.

Formułując tytuł obrad, organizatorzy zdecydowali się podążyć tropem znakomitego semiotyka Władimira Toporowa, który w nazwach własnych – w tym toponimach – widział kondensację konkretnego znaczenia. W nie do końca konwencjonalnej semantyce nazwy miasta zawierać się może bowiem ewokacja jego mitu założycielskiego, wskazującego uwarunkowania powstawania ośrodka oraz pewne jego przeznaczenie. Za nazwą kryje się zatem nie obojętna opowieść: albo poddyktowana dziejami tego, co nosi owo miano, albo zdradzająca okoliczności zaistnienia tego czegoś, albo wzbudzająca określony kontekst skojarzeniowy u odbiorców, albo też ujawniająca przesłankę ideologiczną towarzyszącą nadaniu czemuś owego miana. W toponimie – jak chciał Władimir Toporow – kryje się czy raczej sublimuje określona fabuła, na razie zwinięta w postaci sygnałnej, przyczajonej, niechby i załączkowej, lecz rozwijająca się za każdym razem, gdy przychodzi np. do prób jej zakwestionowania. W takim ujęciu nazwa miasta – właśnie owa fabuła typu *instant* – przechowuje jego proveniencję i prospekcję, niekiedy emblematyzuje osoby-założycieli czy patronów. *Summa summarum* jest węzłowym elementem narracji objaśniającej, nasycającej nasze wyobrażenie o mieście nieabstrakcyjną treścią. Konferencyjny namysł opierał się, jak można było przypuszczać, nie tyle na nazwie samego miasta, ile na nazwach miejskich czy też nazwach w mieście. Rozliczne fabuły zwinięte zostały wszak w przebogate nazewnictwo ulic, budowli, terenów zielonych czy choćby w treść naściennych napisów.

Nazywanie to opisywanie dotychczas nieopisanej rzeczywistości, nadawanie konturu, nasączenie jej właściwościami z ludzkiego punktu widzenia, co koresponduje po trosze z powoływaniem do życia. W licznych przypadkach nazw miejskich to również często przepisywanie „źle opisanej”, zdaniem nazywającego, rzeczywistości, a czasem nadpisywanie. Nazewnictwo wyróżnić to inaczej wyodrębnić z uniwersum jeszcze nieokreślonego, niezakreślonego, zatem nieograniczonego. Jak zapewne rzekłby geograf Yi-Fu Tuan, nazwa przyczynia się do zamiany przestrzeni w miejsce. Nazwy konstytuują i opowiadają świat. Nazwa osadza odtąd konkretny dzięki niej fragment tegoż świata w danej narracji, bo jest jej zwiastunką, przejawem, rozpoznawalnym wątkiem. Nazwa nadaje kognitywną i emocjonalną fizjonomię.

Uprzytomnianie sobie czy uświadamianie obecności fabuły w nazwie, jej odkrycie potwarza zaś sam akt nadania tejże nazwy, z każdym jej wypowiedzeniem przynajmniej potencjalnie na nowo powołujemy do istnienia jej nosiciela – w tym przypadku miasto.

Ale cóż wtedy, gdy owa nazwa-zwiastunka pozostanie bez czytelnej fabuły lub jej nosiciel zniknie w zawirowaniach dziejów? Ucieleśnieniem takiego scenariusza jest opowieść o Atlantydzie, której reliktem w ludzkim imaginarium okazała się nazwa bez jednoznacznego pokrycia w realiach. Swoistą paralelę dla takiej sytuacji znajdujemy w jednej ze starych i chyba znanych chasydzkich przypowieści, cytowanej m.in. przez Gershoma Scholema w *Mistycyzmie żydowskim*:

Kiedy Baal-Szem miał do spełnienia coś trudnego, na przykład jakieś tajemne dzieło gwoli pożytku wszelkich stworzeń, szedł do lasu, rozpalał w pewnym miejscu ogień i pogrążony w medytacjach mistycznych zmagiał modlitwy – no i wszystko odbywało się zgodnie z jego zamierzeniami. Gdy pokolenie później podobne zadanie miał wykonać Magid z Międzyrzecza, szedł do lasu na to samo miejsce i mówił: „Ognia co prawda nie możemy już rozpalać, ale możemy zmówić modlitwę”, i wszystko było tak, jak sobie umyślił. I znów jeszcze jedno pokolenie później to samo miał wykonać rabbi Mojżesz Lejb z Sasowa. Poszedł do lasu i rzekł: „Nie możemy już rozpalać ognia, nie znamy też sposobu ta-

jemnych medytacji ożywiających modlitwę. Znamy jednak miejsce w lesie z tym wszystkim związane – i to musi wystarczyć”. No i wystarczało. Kiedy w pokoleniu następnym rabbi Izrael z Rużyna stanął przed takim samym zadaniem, zasiadł w swym pałacu na złotym krześle i powiedział: „Nie możemy już rozpalić ognia, nie możemy zmawiać modlitw, nie znamy już także owego miejsca – ale możemy o tym wszystkim opowiedzieć”. I to jego opowiadanie – dodaje pisarz [Scholem] – miało taką moc jak czyni spełnione przez tamtych trzech¹.

Nazwa pozwala czemuś lub komuś *z a i s t n i e ć* w *k o n t e k ś c i e*, przynależać, być zaadresowanym. Uwarunkowanie istnienia innym istnieniem stanowi imperatyw kondycji przynależności do tego świata. Innymi słowy: istnieć oznacza być w kontekście, np. mieć przeszłość. Nazwa odsyła do znanej zawczasu konfiguracji, osadza w niej i od niej uzależnia. Jak zauważa Deirdre Mask, nadawanie adresu – a więc sytuowanie w kontekście lokalizacyjno-nazewniczym – „stanowi jedną z najtańszych metod wydobywania ludzi z ubóstwa przez ułatwienie im dostępu do kredytów, udziału w wyborach i zakupów *online*”². Dlatego też, kiedy w Wirginii Zachodniej w hrabstwie McDowell spróbowała odzyskać pewnego znajomego, którego dom nie miał numeru, a ulica przy której stał – nazwy, napotkała niemałe trudności.

À propos kontekstu: o ile za samą nazwą miasta – lub jego części, oczywiście – stoi fabuła, o tyle jeżeli tę nazwę umieścimy w szerszej konstelacji toponimicznej, historycznej, geograficznej, politycznej, to uruchamiamy natychmiast potencjalne różne kolejne skojarzenia narracyjne, dla których asumptem są nieprzypadkowe już wiązki nazw. Posłużmy się przykładem toponimu *Warszawa*, który inaczej wybrzmiewa semantycznie w sekwencji z Gniezmem i Krakowem (to wyimek z polskiej fabuły stołecznej), inaczej – z Bratysławą, Budapesztem i Pragą (to narracja wyszehradzka), odmienienie – ze swoimi odpowiednikami w innych językach, inaczej – w świetle tragicznej historii zniszczenia wojennego łączącej Warszawę, Coventry i Drezno; znowu inaczej Warszawa nam się ujawnia podczas podróży i szacowania pozostającego do przebycia dystansu, natomiast inaczej – kiedy nasz toponim nadaje tożsamość regionom, wydarzeniom bądź organizacjom (np. Księstwo Warszawskie, powstanie warszawskie, Układ Warszawski).

Zdawszy sobie sprawę zarówno z przytoczonej wielokontekstowości toponimicznej, uzmysłowiwszy sobie tyleż lawinowo, ileż – wydaje się – w sposób nienasycony rosnącą liczbę nazw dla miejskiej rzeczywistości, a ponadto wzięwszy pod uwagę naturalne funkcjonowanie nazw nieoficjalnych czy wreszcie często nieczytelność przyczajonych, zwiniętych fabuł, przyznajmy, że mamy do czynienia z niepokromionym apetytem i procesem nieustannego zawłaszczania toponimicznego. Jakkolwiek trudno żyć w świecie nienazwanym, niemniej czy aby nie trudniej jednak żyć w rzeczywistości zbyt intensywnie i gęsto nazywanej? Może zatem czas najwyższy, aby wybrzmiał apel o *o d c h u d z e n i e* oficjalnej toponimii, o zadbanie o miejsca nienazwane, pozostające niezbędnym oddechem percepcyjnym, na razie niewykłane nazewniczo w historię, kulturę czy politykę. Niewykluczone, że czas więc pisać adekwatne petycje do zespołów nazewnictwa miejskiego lub komisji nazewnictwa w urzędach miast o celowe zachowanie białych plam na mapach toponimicznych albo nawet więcej: o w miarę możliwości uszczuplenie skorowidza nomenklaturowego. Czy z takim wyzwaniem miałby się mierzyć się miejski konserwator zabytków i chronić enklawy nazewniczo niedopowiedziane w krajobrazie toponimicznym? Choć może jest to o tyle niemożliwe, że użytkując miasto, zaspokoiłiśmy już swoje potrzeby bezpieczeństwa (typu: nie zgubić się..., trafić...) i weszliśmy na następne „piętra” tzw. piramidy potrzeb Masłowa. Wszak liczne motywacje nazewnicze dość dobrze wpisują się w kolejne, coraz bardziej wysublimowane potrzeby.

Jeżeli jednak nie uda się zniwelować liczby nazw, to może warto rozważyć ich *k r ó t k o ś ć*, nawet jeśli za nimi kryć się będzie bogata fabuła. Powszechnie znany jest przypadek problematycznej uży-

¹ Cyt. za: M. Łukasiewicz, 2012, *Dziwna rzecz – pisanie*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa, s. 16–17.

² D. Mask, 2022, *Adresy. Co mówią nam o tożsamości, statusie i władzy*, przeł. A. Wilga, Znak, Kraków, s. 10–11.



Ryc. 1. Najdłuższa nazwa miejsca na świecie

Fig. 1. The longest place name in the world

Źródło / Source: <https://www.atlasobscura.com/places/longest-place-name> (dostęp: 22.10.2023).

teczności 85-literowej, najdłuższej nazwy świata dla wzgórze na Wyspie Północnej w Nowej Zelandii (ryc. 1).

Wszak już sama ta nazwa jest rozwiniętą narracją, albowiem mówi dosłownie o „miejscu, gdzie Tamatea, człowiek o dużych kolanach, który ślizgał się, wspinał i połykał góry, znany jako zjadacz ziemi, grał na flecie swojej ukochanej”.

Nazwa wydaje się niejako narracyjną korektą rzeczywistości. Upominamy się o niektóre toponimy, bo dzięki nim zostanie dostrzeżony dotychczas kryjący się w cieniu bądź wykoślawiony rys świata. Niewiadomą zamieniamy na wiadomą, nieznaną – w znane, dotąd niezauważane – w hołubione. Manko sprawiedliwości społecznej, politycznej, obyczajowej, kulturowej symbolicznie splecamy w nazewnictwie.

Toponimy – w tym oikonimy, urbanonimy, hodonimy, agoronimy, hydronimy, oronimy, choronimy – są wyrazem ambicji i pretensji, roszczeń i tęsknot, oddawaniem hołdu lub ukłonem wobec okoliczności czasowych i przestrzennych, orężem i intencją, stemplem przynależności i znakiem zakreślenia granicy obowiązywania, niekiedy też odnotowaniem idiomatyczności miejsca. Słowem – nazwa miejscowa nigdy nie pozostaje obojętna, a jej pozorna indyferentność wynika najczęściej z przyzwyczajenia do obcowania z miejscem, z braku o nim wiedzy, z niepamięci czy niewystarczającej wyobraźni. Nazwa jest semantycznym drogowskazem, delegującym naszą uwagę na pewną opowieść. Co więcej – bywa, że nazwa wieńczy odkrycie geograficzne, które – wedle Paula Cartera – „jest w dużej mierze procesem lingwistycznym”³.

Oczywiście nie tylko do dyscyplin językoznawstwa i geografii należy praktyka nazywania, ponieważ parają się tym też na niwie badawczej m.in. historycy, literaturoznawcy, filozofowie, psychologowie, politolodzy czy antropolodzy. A nawet ekonomiści – co można wysnuć z lektury niedawno wydanej pracy Andrzeja Ledera pt. *Ekonomia to stan umysłu*⁴.

Nazewnictwo miejskie nie jest też li tylko domeną badaczy, nawet badaczy tak wielu dziedzin. Sama czynność nazywania miasta (i jego części) jest wszak działalnością praktyczną. A czasem też – używając nieco innego zakresu semantycznego tego pojęcia – działalnością wielce niepraktyczną, choć to oczywiście jest ujęcie nieraz zanadto oceniające. Przywołany przykład nowozelandzki

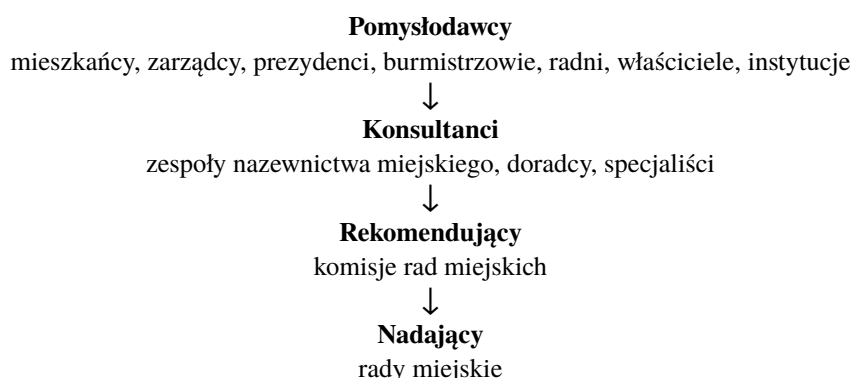
³ Cyt. za: K. Schlögel, 2009, *W przestrzeni czas czytamy. O historii cywilizacji i geopolityce*, przeł. I. Drodowska, Ł. Musiał, Wyd. Poznańskie, Poznań, s. 224.

⁴ Zob. A. Leder, 2023, *Ekonomia to stan umysłu. Ćwiczenie z semantyki języków ekonomicznych*, Wyd. Krytyki Politycznej, Warszawa.

jakże łatwo porównywać jest z licznymi nazwami już z przestrzeni typowo miejskiej, lokowanymi w otaczającej nas bliżej rzeczywistości. Węgrowskie rondo Bohaterów Bitwy pod Węgrowem 3 Lutego 1863 roku (9 słów, 45 znaków bez spacji) nie pozwala na odczytanie nazwy przejeżdżającym przez to miejsce kierowcom, podobnie jak nie pozwalałoby na to warszawskie rondo o niedosłej nazwie rondo Tajnej Komisji Zakładowej Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” przy Zakładach Mechanicznych „Ursus” (13 słów, 115 znaków bez spacji). Wszak negatywne reakcje czy też oceny praktyczności nazw – na podstawie stosowania ich jako narzędzi organizacji i użytkowania przestrzeni miejskiej – pomijają (w istocie z założenia) motywację nadania nazwy oraz przypisywaną jej (zapewne na wyrost) funkcję informacyjną, edukacyjną i upamiętniającą. W owej sferze użytkowej konfrontacja różnorodnych poglądów odnoszących się do funkcji nazwy tworzy pole do wyrazistego sporu, jakże często wykraczającego poza sferę dyskursu nazywanego merytorycznym. Wykroczenie poza zaspokajanie potrzeby lokalizacyjnego bezpieczeństwa otwiera zaś nam wrota do wprowadzenia w dyskurs o nazwach emocji.

Możliwy i rzeczywisty spór wydaje się jednak niemożliwy do pominięcia. Słowa, nazwy są przecież niezbywalnym elementem przestrzeni miejskiej, towarzyszą jej użytkownikom niemal na każdym kroku, są przy tym zarówno materialnymi elementami otoczenia (konkretne napisy umieszczone na fizyczny obiektach – tablicach nazewniczych, murach, witrynach itd.), jak i pozamaterialnymi jej składnikami oraz (lub w tym) elementami widoku przestrzeni. Słowa w mieście, których emanacją jest nazewnictwo, konstytuują jego porządek, organizują i porządkują miasto, ale też wpływają często na jego niemal bezgraniczny chaos. I może to właśnie legło u podstaw nadawania w Warszawie miejskim nazwom urzędowego, coraz bardziej skodyfikowanego charakteru. Piętnastego maja 2012 roku prezydent m.st. Warszawy „zatwierdziła” swym zarządzeniem obowiązywanie m.in. średniowiecznych nazw ulic w obrębie Starej Warszawy. Nieco później nadano (co jest corocznie potwierdzane) urzędową rangę tzw. bankowi nazw – zestawieniu potencjalnych nazw do wykorzystania w nazewnictwie nowych obiektów miejskich, wcześniej będącemu roboczym, podręcznym narzędziem pracy miejskiego zespołu doradczego, stanowiącego swoistą „zamrażarkę” niewykorzystanych nazw. Dokument ten w żadnej mierze nie uniemożliwia nadawania nazw spoza banku. To tylko dwa przykłady jakże jasno wskazujące, jak ogromną wagę formalną przykładają władarze miasta do nazw funkcjonujących w jego przestrzeni. Poza rozważaniami pozostawmy na tę chwilę namysł nad stopniem regulacji zagadnień nazewniczych.

Znaczenie nazw dla instytucji zarządzających miastem, czy to prezydentów, czy burmistrzów, radnych i urzędników sprawia, że sposoby i systemy nazywania obiektów miejskich bywają często traktowane z nad wyraz dużym pietyzmem. Są przy tym rozmaite w różnych miastach. W swych bardziej rozbudowanych formach układają się w następujący schemat:



Jak widać na tym uproszczonym i nieobejmującym wszystkich przypadków schemacie, ścieżka prowadząca do oficjalnego nadania nazwy miejskiej bywa rozbudowana i na różne sposoby konsultowana. Skomplikowanie procesu nadawania nazw może być ważnym asumptem do później-

szych badań prowadzonych nad nazewnictwem miejskim, dokumentacja przeprowadzanych procesów nazewnictwych zaś bezcennym materiałem źródłowym do zrozumienia jednego z kluczowych czynników nazwotwórczych, jakim jest motywacja. I to motywacja nazwy na każdym etapie realizowanego procesu. Ścieżka ta obejmuje oczywiście jedynie nazwy oficjalne, urzędowe, formalnie nadane. Poza nią pozostaje całe bogactwo nazw tworzonych spontanicznie, oddolnie, niestrzymających się reguł formalnych. Chociaż obie te grupy niejednokrotnie się przenikają, to nazwy zwyczajowe nieraz trafiają na miejskie tablice, utrwalające społeczne życie miasta.

Funkcjonowanie nazewnictwa – a zwłaszcza jego nadawanie – w sferze działalności praktycznej skłania częstokroć do sformułowania pytań dotyczących, jak się wydaje, interesujących aspektów powstawania i funkcjonowania nazw miejskich. Postawmy sobie kilka z nich przed lekturą naukowego pokłosa namysłu nad nazwami miejskimi, publikowanego w tym zeszycie *Prac i Studiów Geograficznych*. To rzecz jasna tylko wyimkowe, przykładowe pytania rysujące się podczas rozważań o nazwach miejskich postrzeganych jako przedmiot praktyki.

Czy w istocie ważna jest fabuła skryta za nazwą? A jeśli tak, to dla kogo? I czy znaczenie to nie jest na tyle marginalne, że cały ów dyskurs nie jest „grą niewartą świeczki”? Czy prześmiewczo przywoływane szkolne pytanie „Co autor miał na myśli?” jest w kontekście nazw ulic często zadawane?

Czy położenie, układy przestrzenne nazw i ich typów pozostaje jakkolwiek zrozumiałe, dostrzeżone, przydatne? Czy dopasowywanie sąsiedztw nazw, budowanie tzw. gniazd nazewnictwych nie jest może głównie przygodą intelektualną nazwotwórców?

Czy mają sens uliczne statystyki ważące na szalach pisarzy i malarzy, księży i wojskowych, kobiety i mężczyźni, patronów długich i krótkich ulic, patronki ulic centralnych i peryferyjnych? Czy może nadana tu i teraz nazwa jest częściej dziełem przypadku, chwili, wolnego miejsca, dobrej lektury, ciekawego spotkania aniżeli systemowego, sprawiedliwościowego traktowania nazw? Czy ważąc te kwestie, nie abstrahujemy zanadto od motywacji, czasu nadania nazwy i dostępnego miejsca w przestrzeni miasta?

Czy nazwa miejska jest narzędziem porządkowania, organizowania i użytkowania przestrzeni miejskiej? Czy może jest śladem przeszłości zapisanym w mieście współczesnym? A może jest pieczęcią historii, narzędziem przymusu, instrumentem kształtowania pamięci? Może jest jedynie egzemplifikacją potrzeb, marzeń lub idei nazywającego?

Czy nazwa kształtująca i organizująca przestrzeń miejską jest skutecznym upamiętnieniem postaci, grup osób i wydarzeń? Czy dzięki nazwie pamiętamy bardziej i wiemy więcej o patron(k)ach ulic i placów? Czy może poprzez nadanie nazwy jedynie zaspokajamy własne ambicje, niwelujemy wstydlive niedopatrzenia?

„Nazywać znaczy myśleć”... Ów tytułowy postulat niniejszego słowa wstępnego przekłada się – a przynajmniej powinien – na wszystkie etapy istnienia nazw miejskich: wymyślania, oceny, utrwalania (realnego, formalnego, fizycznego), użytkowania i oczywiście badania.